

śnić się między nimi związek trwalszy jeszcze od małżeństwa.

Maud miała umysł praktyczny. Nie lubiła cygańskiego życia, chyba że ono toczy się wśród złota. Zachodziła na giełdę i odwiedzała swą skrzyneczkę w Credit-Lyonnais. Mistress Harden zbyt przewrotna, by dotrzymała słowa, opowiedziała wszystko Maud. Opowiedziała jej o staraniach magnata austriackiego, który obsypałby ją złotem.

Hrabia Hartenberg był już starym, apoplektycznym, bez rodziny. Markiz szczodry bardzo, nie był jednak rozrzutnym, jakimi bywają zakochani starcy. Hrabia pisywał błagalne listy i jemu właśnie odpowiadała Maud, gdy wszedł pan Morailles.

Markiz powstał:

— Teraz, kiedy dzięki tobie rozgrzałem się i odpocząłem już, odchodzę. Do widzenia Maudinette. Jutro przyjdę i pojedziemy do Paryża.

Uściskała go, sprowadziła na dół, jeszcze raz uściskała i wróciła do siebie, by dokończyć listu do hrabiego Hartenberga.

Pan Morailles wracał szybko i doszedł już do ogrodu parku, gdy spotkał człowieka, który wychodził z lasu. Poznał w nim Bougneau, zwanego ojcem Castagnette, z zamkniętym koszykiem w ręku.

— A to pan markiz. Przestraszyłem się. Myślałem, że to leśniczy.

— Kłusownictwa jeszcze nie zaprzestaliście?

— Tak, ale to na zwierzynę, która nie jest zabroniona, panie markizie. Kłusownictwo dobre dla młodych. Dzisiaj ja nie mam wielkich potrzeb. Ani żony, ani dzieci. Oby tylko starczyło na fajkę i kieliszek...

— A cóż macie w tym koszyku? Grzyby? Możecie je przynieść do zamku.

— Pan markiz jest bardzo dobry. Ja nigdy nie zapominam o łaskawości dla siebie. To nie grzybki. To żyjące stworzonko.

— Wiewiórka?

— Nie, czerwona żmija dla pana doktora Morane, który mówił, że kupi odemnie.

— Na co?

— Pewnie, żeby ją pokrajać, albo ugotować z niej rosół, bardzo skuteczny, jak mówią, na wiele chorób.

Zapadła noc. Nie można było widzieć rysów twarzy pana Morailles.

— Rzekł obojętnym głosem:

— To sprzedajcie mnie swój koszyk. Właśnie doktor ma przyjść do zamku. Zrobię mu niespodziankę. Macie pięć franków.

— O, dziękuję panu markizowi. Ale trzeba dobrze uważać na koszyk, by nie uciekła. Ona gryzie. Gdy w zeszłym miesiącu ukąsiła drwa, przeniósł się na tamten świat.

Pan Morailles nie odpowiedział nic. Wziął koszyk i szybko oddalił się, uśmiechając się złośliwie.

XII.

SZCZĘŚCIE I NIESZCZĘŚCIE.

— Popatrz Auroro! zawołała radośnie Joanna, która, siedząc przy łóżku pani Morailles, przegłądała ranną pocztę.

— Co takiego? zapytała osłabionym głosem markiza.

— Zobaczysz wkrótce osobę, którą bardzo kochałaś.

Lekki rumieniec zaróżowił bladą jej twarz.

— W tej samotności, w jakiej żyję... nie przypominam sobie nikogo, ktoby...

— Poszukaj lepiej w pamięci. Już Wierę widzieliśmy, a teraz ktoś drugi wyłania się z przeszłości...

— Nie pamiętam nikogo i męczy mnie to zgadywanie... — rzekła Aurora, opuszczając na poduszkę znużoną głowę.

— Ktoś, o kim ci już mówiłam, z kim jechaliśmy z Wenecji...

Pani Morailles zbladła, potem zarumieniła się znowu:

— Pani Seymour!

Na myśl, że ujrzy dawną powiernicę swej pierwszej i jedynej miłości, doznała dziwnego, bolesnego wzruszenia.

— Ciesz się — rzekła Joanna — wierna przy-

jaciółka, cenna sojuszniczka jest wielkim skarbem w takiej chwili.

— Co ona może uczynić dla mnie — westchnęła markiza... Ale co pisze?

Chce cię widzieć. Proponuje spotkanie w lesie przy wąwozie w Franchart.

— Dlaczego nie chce tutaj przybyć?

— Widocznie ma jakieś powody. W każdym razie będziecie tam swobodniejsi. Pogoda jest ładna. Dobrze będzie, gdy się przejedziesz.

— Czuję się bardzo zmęczona... Czy nie można do niej zatelefonować?

— Już jest za późno. Teraz wyjeżdża z Paryża samochodem. Wstań i ubieraj się, a zobaczysz, jak dobrem dla ciebie będzie spotkanie z starą przyjaciółką. Lecz co zrobimy z Jackiem. Nie możemy go wziąć ze sobą?

Wstyd przejął markizę; jeżeli zdradzi się przed panią Seymour, lub jeżeli ona sama odgadnie?... A przytem obecność dziecka będzie je żenowała.

— Pozostanie z Maurycym — rzekła jeszcze Joanna. Cóż może mu się stać? Zresztą Ludwika bę-



— A to pan markiz. Przestraszyłem się. Myślałem, że to leśniczy...

dzie czuwała. — Dodała obojętnym tonem, by nie dopuścić myśli, że się obawia.

— A czy pan Morailles nie jedzie dzisiaj do Paryża?

— Istotnie, tak mówił. A wiesz co? Każę zaprząść do powoziku angielskiego i sama cię powiozę.

Odgadując w oczach swej przyjaciółki pewną obawę, dodała:

— Chyba masz zaufanie do mnie? Mam rękę pewną, a przytem Pamela jest zupełnie spokojna.

— Wezmiesz przynajmniej służącego ze sobą?

— Nie, będzie nam przeszkadzał. Stary leśnik Landry będzie nam towarzyszył konno, jako groom. Jest mi oddany zupełnie, jak i jego rodzina.

— A jego syn, pamiętasz, coś go protegowała wówczas prefektowi policyi?... — Jan? Robi karyerę. Już został trzy razy odznaczony; jest teraz brygadyrem.

— Dzielni ludzie, ci Landry.

W dwie godziny potem obie panie wyjechały w towarzystwie tylko starego leśnika, który jechał za nimi konno w pewnej odległości i Myrry, nie chcąc opuścić swej pani.

Z okna pierwszego piętra przyglądali się odjeżdżającym Jacek i Maurycy.

Pan Le Chars nudził się wściekle. Przyjechać do

Roche-Forte, by pozostać bez ruchu, bezsilny i uwięziony, tego już za dużo! Siadł na szezlongu znużony, z książką w ręku, która jednak po kilku minutach zsunęła mu się na ziemię. Zaczął drzemać. Zapukano lekko do drzwi.

— To pan Andrzej?

— Tak, to ja; szukam Jacka. Czy pozwoli nam pan zagrać w tenisa?

Jacek, dla którego Andrzej o sześć lat starszy od niego był wyrocznią, oczami wyraził ojcu, jak bardzo prosi o to pozwolenie.

— Bądźcie tylko uważni. Panu, jako starszemu, powierzam go.

Chłopcy wybiegli. Maurycy, dla którego wszystko stawało się ciężkiem, wszystko denerwowało, podszedł zniechęcony do okna, by popatrzeć, jak obaj bracia, choć nie rodzeni, bawią się. Uderzyło go pewne w nich podobieństwo, jakieś wspólne cechy rodzinne. Wiele jednakowych rysów twarzy, postaci całej, a nawet te same ruchy zdradzały ich pochodzenie od jednej matki. Jak pan Morailles mógł nie powziąć podejrzeń? I Maurycy może poraz pierwszy poddał się obawom, jakie męczyły jego żonę. Gościnność w Roche-Forte wydała mu się podejrzaną, pełną jakichś podstępów! Złe zrobili, przyjeżdżając tutaj. Myśl jego zwróciła się potem do spraw osobistych, nie mniej przykrych. Dostał list od rejeanta w sprawie sprzedaży jednej z posiadłości. Przytem spadek papierów procentowych pogorszył jeszcze jego stan finansowy. Oby mógł przez jakieś spekulacje giełdowe poprawić swe interesy.

Przypomniała mu się i ranna rozmowa z panem Morailles, który z wielką serdecznością przyszedł powiedzieć mu dzień dobry.

— Niezadowolony jestem, — mówił markiz, że wszystkie swe kapitały mam już zajęte. Nadarza się teraz wspaniała okazja do ulokowania pieniędzy na trzydzieści pięć, a nawet czterdzieści pięć procent. Wspaniały interes! Niech chociaż skorzystają moi przyjaciele...

Mówił to tonem swobodnym i obojętnym. Maurycy przez dyskrety nie pytał go o szczegóły. Pan Morailles ciągnął dalej:

— Dlaczego pan nie chce z tego skorzystać? Okoliczności są wyjątkowe. Mój przyjaciel, książę d'Eylan będzie zachwycony tem, że znajdzie fundusze na odrestaurowanie swego starego zamku. Ale pan jak i pani Le Chars są zbyt ostrożni, tymczasem kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

— O cóż więc chodzi? — zapytał Maurycy.

Przedsięwzięcie o wielkiej przyszłości. Towarzystwo, które się formuje pod nazwą Motory Salentin, ma fabrykować nowy motor ulepszony do samochodów i aerostatów. Obecnie akcje dają już dwadzieścia pięć procent lecz ciągle idą w górę. Jadę teraz do swego agenta giełdowego i postaram się umieścić jakie trzysta

tysięcy.

— Ale czy pan jest pewny?

— Jak najpewniejszy, ale widzę, że pan nie ma zaufania... Muszę już jechać,

— Nie... to nic, to — protestował Maurycy.

— Ale tak, widzę to... Jest to zupełnie naturalne. Zresztą nie wiem, czy się tych akcji zostanie coś jeszcze. Do widzenia!

Markiz wyszedł. Dlaczego ja istotnie tak się boję? myślał Maurycy. Przecież to nie jest gra, a przytem nic nie powiem Joannie, by się nie obawiała...

Zajęty temi myślami nie zwracał już uwagi na zabawę chłopców, zastanawiając się tylko, czy może ryzykować jeszcze swoje nadszarpnięte fundusze. Przypominał sobie całą ranną rozmowę z markizem, gdy naraz weszła Ludwika:

— Proszę pana do telefonu.

W chwilę potem już wołał:

— Hallo!

— Hallo! To pan? Le Chars?

Poznał głos markiza.

— Tak, to ja.

(Ciąg dalszy nastąpi).